

Joanna Ulatowska-Letko

Godło: Kierat

Czas zbierania

*Wszystko ma swój czas,
i jest wyznaczona godzina
na wszystkie sprawy pod niebem [...]
Jest czas rzucania kamieni i czas ich zbierania...
(Koh 3, 1,5)*

- Kamienie się zbierało, owszem, na trawie, na koniczynie. O, w kamieniach jak w książce czytać można, kamienie jak ludzie, każdy inny. Jedne szlachetne, jak król, hrabia, drugie polne, jak my, chłopcy. A co kształtów, co kolorów. Całe życie można kamienie oglądać i dwóch takich samych nie zobaczyć.
- I pokory kamienie potrafią nauczyć, bo to nie to samo, co kartofle na ten przykład zbierasz, czy buraki. Kamień niewdzięczny, zjeść nie zjesz, chociaż się niby mówi, kamienie gryźć, a zebrać musisz, bo pod kamieniem trawa nie urośnie, a i kosy szkoda, o maszynach nie mówiąc już nawet. A najgorsze, że na raz nie wyzbierasz, bo one co roku z ziemi wyłazą, a pełne, panie, jak króliki. Zbierasz i zbierasz, krzyż

już ci pęka, szpajanki pełne, a spojrzysz, tego tałatajstwa dalej chmara na ziemi leży.

- A cierpliwość kamienie mają jak chłopcy, do sądnego dnia może kamień leżeć w jednym miejscu, a nie znudzi mu się. A jak go podniesiesz, też się nie zbuntuje, przeczeka.

- Niemce to podobno, panie, maszynę taką do zbierania kamieni wymyśliły. Na ziemiach odzyskanych tak, panie, wyzbierały, że nie uświadczysz na polu jednego kamyka. Ale drogi, juchy, porobiły, że porobiły...

Stałem już dłuższą chwilę pod drzwiami do sali szpitalnej, gdzie leżał ojciec. Zwlekałem, jak mogłem, z wejściem i - chcąc nie chcąc - słuchałem. Jak zwykle najgłośniejszemu perorował Szymon Pietruszka, co przy drzwiach od razu leżał. Na pierwszy rzut oka widać było, że z niejednego pieca chleb jadał. Niby chłop, co orze i sieje, ale i partyzantem był, i fryzjerem, i w gminie pracował. Nawet i do szpitala trafił nie przez ślepą kishkę, czy inną zwyczajną chorobę, jak choćby i ojciec ze swoim sercem. Pietruszka obie nogi miał połamane - prosto pod samochód na szosę z pola furą ze zbożem wyjechał, bo mu czekać za długo było. Na początku chcieli mu amputować, ale się nie zgodził - partyzant był, siedem ran miał z wojny, Orzeł pseudonim, jak bez nóg miał zostać? Nawet się ucieszył, jak ojca koło niego położyli. Że też urzędnik, jak i on. Ojcu się Pietruszka spodobał, bo sam słaby

już był i mówienie go męczyło. Ale słuchać lubił, tak jak tamten mówić.

Za to matce nie przypadł całkiem do gustu. Chyba dlatego, że od pierwszego razu przejrzał ją na wylot i zobaczył, jak głęboko wieś w niej schowana siedzi, chociaż tak bardzo chciała matka być z miasta. Może i dlatego mnie do szpitala do ojca wysyłała, żeby się z Pietruszką nie musiała spotykać. Za bardzo widziała w nim to, od czego chciała uciec jak najdalej, a od czego uciec się przecież nie da, bo jak tu od siebie uciec i dokąd?

- Był ci u nas taki kawałek drogi, cośmy go błotem nazywali. Dziadek mówili, że pod nim dziura do samego piekła widać musi być, bo ile by tam kamieni, żwiru, piachu nie wywiózł, to ledwo deszcze przyszły, błoto po kolana, że dziecku to na plecach nosić było trzeba, co by się w tym błocie nie potopiły... To i kamienie potrzebne były.

Nie mogłem po głosie rozpoznać, kto z Pietruszką o kamieniach rozprawia, ale nagle przypomniało mi się, jak wziął mnie raz dziadek właśnie kamienie zbierać. Trawa na jesieni na nowinach wsiana była i podobno wujek Stefan z wujkiem Władkiem wszystkie kamienie wtedy wyzbierali, ale na wiosnę, jak twierdził dziadek przez suszę, znowu ich skądsiś nawyłażyło.

- Drobniutkie takie, to przed chałupą się wyrzuci, piachem potem przysypie i te doły zarówno, bo już wstyd ludzki, żeby takie wądoły jak okopy, nie przymierzając, były.
- Jakie kamienie znowu, co ojciec, gdzie on do kamieni, Matko Boska, ręce pokaleczy, ubranie poniszczy - matka wciąż nie mogła się pogodzić, że mnie dziadek jak wiejskie dziecko traktuje.
- Drobne kamyki przecież i po łące bedziem chodzić, nie w roli, nie w kurzu, to i nic mu nie będzie. Prawda, Pietruś, że chcesz z dziadkiem jechać? Dziadek wiedział swoje, mimo sprzeciwów matki, zaprzągnął konia, no i pojechaliśmy po te kamienie. Na początku nawet mi się podobało - wrzucało się na wóz, to grzechotały tak śmiesznie jeden o drugi. Ale szybko mi się znudziło, plecy mnie od schylania się zaczęły boleć, a tu gdzie jeszcze do końca łąki.
- Dziadku, po co są kamienie? - zamarudziłem. - Lepiej bez nich by było przecież.
- Myślisz, że ty byś lepiej niż Pan Bóg świat urządził. Bez kamieni. A świat bez kamieni, to by jak człowiek bez kości był. Ziemia kamienie rodzi, w bólu nieraz, w trzęsieniach, z samych trzewi swoich wydobywa. I nie tylko zwykłe takie, ale i marmury na pałace dla królów, i brylanty na pierścionki dla królowych, a dla chłopów te zwykłe, polne. Z kamieni i fundament pod dom zrobisz, i chlew postawisz, i parkan. Kamienie na granicach się zakopuje, na grobach kładzie,

napisy w nich różne wykuwa. Na polu chłopu też kamień potrzebny. Kotek poprawić potrzebujesz, czy krowę przepalować, to czym?

- A pan Piotr, co tak pod drzwiami stoi i nie wchodzi? A tam tatuś czeka pewnie na pana.

Aż podskoczyłem z wrażenia, bo przecież z dziadkiem te kamienie na polu zbierałem i nie zauważyłem pani Jadzi, salowej.

- Ale ten garnczek to niepotrzebny, pan Zygmunt tyle je, co ptaszek, nawet kotleta dziś nie poruszył. Komu z chleba, temu i noża nie trzeba...

Dopiero mi się przypomniało, że miałem garnuszek z krupnikiem od matki, w ręcznik zawinięty. Prosiła, żebym szybko szedł, to nie wystygnie, a tu te kamienie tak mnie zatrzymały pod drzwiami, że na pewno już zimne było.

A wtedy z dziadkiem to nazbierałem sobie pełne kieszenie kamieni - najbardziej mi się podobały takie gładkie, ciemnoniebieskie z jasnymi pręgami, ale brałem też płaskie, żeby kaczkę na stawie puszczać i malutkie, niewiele większe od fasoli, do procy, co mi Fredek obiecał pożyczyć. Ale w domu nie pozwolili mi ich trzymać - wujenka Marta krzyku narobiła, że z kamieniami będę się do domu wnosi i musiałem je w stodole zostawić. I nawet nie pamiętam, co się z nimi potem stało.

Wszedłem do sali. Ojciec leżał cicho i oddychał z takim trudem, jakby mu te kamienie, co o nich gadali, na piersi leżały. Przypomniało mi się, że matkę dziś rano prawe oko swędziało, a wiadomo, prawe - łzawe, już lepiej, jakby lewe, to na śmiech, a prawe na płacz, czyli nieszczęście jakieś. Dlatego nie lubiła matka, jak ją prawe oko swędziało, tak samo jak kiedy skorupy się tłukły, wtedy złe przeczucia jej już nie opuszczały i tylko czekała na złe wieści, żeby móc powiedzieć „a nie mówiłam, że oko, że skorupy”. To był jej sposób, żeby lęk przed życiem choć trochę oswoić, udomowić niejako, zmienić z obcego w swojski, zapoznany.

- Syn przyszedł, panie Zygmuncie - oczywiście Pietruszka pierwszy mnie zobaczył - a tatusiowi pańskiemu kamień się dzisiaj śnił i stąd nam temat taki przyszedł. Wiadomo, w szpitalu próżniacze życie, to czymkolwiek dobrze głowę zająć choćby na chwilę.

Nie mogłem uwierzyć, że ojcu coś się śniło, matce, to owszem, ciągle jej się śniło i do panien Ponckich na górę biegła, żeby im ten sen opowiedzieć i naradzić się, co też może znaczyć, jak się tak a tak śniło, ale ojcu?

- Naprawdę? To szkoda, że mama nie przyszła.

- Nie mów nic matce - w końcu odezwał się i ojciec - bo zaraz będzie się zamartwiać, że zły sen i że nieszczęście wróży.

- Ale co się ojcu śniło? - zapytałem, bo czułem, że chce mi ten sen opowiedzieć.

- Staliśmy w tym śnie obaj na schodach i nagle z dołu zaczęła ku nam iść matka, ale bardzo wolno szła, bo dźwigała kamień, wielki taki, że ledwie go mogła utrzymać. Chciałem zejść do niej, żeby jej pomóc i nie mogłem się ruszyć, chciałem zawołać, żeby rzuciła ten kamień, po co jej on i nie mogłem głosu wydobyć - ojciec zatchnął się i opadł na łóżko.

W sali zaległa cisza. To na pewno nie był dobry sen. Ale wiedziałem, że matce go nie opowiem - i tak niosła przez życie tyle lęków, kłopotów i zmartwień, że niepotrzebny był jej jeszcze ten kamień z ojca snu.

- *Kamień na kamieniu, na kamieniu kamień, a na tym kamieniu jeszcze jeden kamień...*- zanucił nagle Szymon Pietruszka - każdy z nas, panie Zygmuncie, swoje kamienie w życiu dźwiga, każdy bez wyjątku. Aż przyjdzie czas, że go w końcu na miejsce doniesie i wtedy będzie mógł odpocząć. A ja tak sobie myślę, żeby, jak do domu wrócę, grób wybudować. Bo wieczność nie wieczność, a swój kąt powinien człowiek mieć.